

Długą drogę Pani przemierzyła, zanim dotarła do Krakowa, miasta, z którym związała niemal całe życie. Urodzona w Charkowie, gimnazjum kończyła Pani w Wilnie, maturę zdawała w Warszawie...

- Mój Boże, i znów staję mi przed oczami całe życie. A przecież był jeszcze po drodze Lwów, Brześć Litewski, Nowy Sącz, a to wszystko wiązało się z pracą mojego ojca, który wciąż przenoślił się z miejsca na miejsce.

- Z tych długich peregrynacji najmiej wspomina Pani Wilno. Czy to odzywa się sentyment młodości?

- Nie, sentymentów jest w mnie wiele, i to z różnych powodów. Wilno kiedyś było urokliwym miastem, o niepowtarzalnym „ludzkiem” klimacie. Jeśli spytało się kogoś o drogę, to najpierw długo tłumaczył, potem odprowadził na miejsce, a po drodze opowiadał o swojej rodzinie i bliższych sprawach. To była typowa wileńska życzliwość i ciepło, które promieniowało z każdego kąta. Po wojnie byłam w Wilnie z teatrem. Chodziłam po tych wąskich uliczkach, odnalazłam dom rodziny. Ale to był smutny powrót, bo zobaczyłam ruinę - poszarzałe, stare dzielnice, niegdyś piękne, teraz dość przerażające, bo zniszczone, nędzne, brudne. Tylko reprezentacyjna część miasta była nieźle utrzymana. Nie wiem, jak jest teraz, być może lepiej. Jedno się, oczywiście, nie zmieniło - cudowne położenie miasta na pagórkach. W latach gimnazjalnych moją wielką pasją i miłością było harcerstwo, z którym zwiedzałam sporo wileńskich okolic, prowadząc obozy.

- Po maturze zdawała Pani na socjologię i dziennikarstwo, choć tradycję amatorskiego ruchu teatralnego zaszczylił w Pani ojciec.

- Który o mały włos nie został zawodowym aktorem. To przynosiny do Charkowa pokrzyżowały mu plany. Natomiast ja aktorstwa się bałam. Wciąż wydawało mi się, że jestem za gruba albo za brzydka. Te same powody powstrzymały mnie przed aktorstwem, gdy szłam na egzamin w 1945 roku w Krakowie, do Teatru im. Słowackiego.

- Dlatego zabrała Pani plik scenariuszy widowskich dla dzieci i stanęła przed komisją, chcąc zdawać na reżyserię?

- Tak, ze strachu przed aktorstwem i z marzeniami o reżyserii spektakli dla dzieci. Ale wówczas wydziału reżyserii nie było, więc kazano mi zaprezentować jakiś tekst. Pamiętałam tylko wiersz Makuszyńskiego „O książniczce zamienionej w kobyłę”, a koledzy, zdający egzamin, mieli przygotowany wielki repertuar. Zdenierwowany Woźnik, mój przyszły ukochany pedagog i dyrektor, pyta: *To nic pani innego nie potrafi? A ja odpieram: Nie, bo chcę na reżyserię, a nie na aktorstwo.* Do tego byłam ubrana w jakąś bidną sukieneczkę, a nogi miałam obandażowane, bo poobijane od wojennych drewniaków - więc razem to wszystko musiało sprawiać dość komiczne wrażenie. Skutek był zadziwiający - zdałam. To były cudowne dwa lata studiów; wśród pedagogów: Woźnik, Frycz, Trzciniński, Nowakowski, a pośród studentów: Holoubek, Mikołajska, Śląska. Wszyscy byliśmy niebywale złąknieni wiedzy. Lata wojny zabrały swoje.

- Od razu po szkole związała Pani swe losy z Teatrem Słowackiego w Krakowie...

- Zadebiutowałam rolą Dziewki w „Kłątwie” w reżyserii Dąbrowskiego, który był dyrektorem teatru. A potem od razu przyszła Balladyna w „Balladynie” i wiele ról, niestety, dramatycznych, heroin, postaci psychologicznie złożonych i kobiet silnych.

- Dlaczego mówi Pani „niestety”?

- Bo ja kocham komedię i dziś wyłącznie chciałabym

reżyser, bo jako aktorka miałam świetne.

- Jak Pani sądzi, skąd brała się ta ostra krytyka?

- W obronie Biliżanki. Uważano, że ją „wysadziłam” z dyrekcji. A to przecież bzdura. Władze miejskie po prostu chciały zmiany dyrektora i Marysia odeszła na emeryturę. Zresztą reżyserowała potem bajki, więc kontakty utrzymywałyśmy. Pracowali również świetni

reżyserzy, którzy też na ogół byli chłastani przez krytykę.

- Nieco wcześniej po wojnie była Pani też związana z Teatrem Mieczysława Kotlarczyka.

- Trudno powiedzieć, że byłam związana. Byłam tam przez chwilę, gdyż pociągał mnie wielki repertuar, jaki wystawiano.

- Wówczas znalazła sobie Pani inne zainteresowanie - zrobiła Pani kurs przewodników po krakowskim Kazimierzu. Czy to było wypełnianie pustki?

- Tak i jak się okazało, to było świetne posunięcie z mojej strony. Po pierwsze miałam nowe zajęcie, a po wtóre zaczęłam zgłębiać fantastyczną literaturę żydowską. Wszłam w świat, o który ocierałam się od dzieciństwa.

- Z ludźmi generalnie, co nie znaczy, że w zawodzie. A ten brak łatwości, będzie się pani śmiała, bierze się z mojej nieśmiałości. To ona powoduje pewien dystans i ostrożność. Nie często siadam, tak jak dzisiaj z panią, i zwierzam się z mojego życia. Myślę, że jako partnerka na scenie nie jestem trudną osobą. I nigdy nie byłam chimeryczna, bo teatr traktuję bardzo poważnie.

- Obok teatru, szkoły, krakowskiego Kazimierza ma Pani jeszcze jedną pasję - podróże.

- I to od lat. W tym roku byłam w Norwegii. Cudowny kraj. Sporo zwiedziłam w życiu. A marzy mi się samo południe Afryki, ale tam jest zbyt niebezpiecznie.

- W swych wędrówkach odwiedzała Pani również Epideuros - miejsce niemal święte dla ludzi teatru. Czy będąc tam poczuła Pani, że jest „u źródeł”?

- Byłam tam z Klubem Krytyki Teatralnej wraz z Krysią Zbiżewską. To było coś fantastycznego. Amfiteatr w gaju Asklepiosa wypełniony różnokolorowym i różnojęzycznym tłumem widzów. A na scenie spektakl. Zachodziło słońce, robiło się coraz ciemniej i nagle weszły reflektory, a po nich srebrna kula księżycy. Kicz, który w tej naturalnej scenarii był istnym cudem. Wtedy poczułam te parę tysięcy lat, które pracują na nasz teatr. Ale też zobaczyłam zwyczajność miejsca, gdy spostrzegłam w kamiennych ławach amfiteatru małe dziurki, które służyły... do siusiania. Takich udogodnień dla widzów wymagały ówczesne okoliczności, bo przecież wtedy publiczność spędzała i kilka dni w teatrze, jedząc, śpiąc i załatwiając swe potrzeby. Jakże wówczas teatr był wielki. Dziś trochę zmałał.

- A powiedziała Pani kiedyś, że dla teatru warto poświęcić życie. Nadal tak Pani twierdzi?

- Tak, choć zmienia się on na moich oczach i nie zawsze zgadzam się na taki, który dziś się proponuje. Należę do pokolenia aktorek, które Frycz uczył odrzucać tren w sposób aktorski. Bo rzemiosło uważane było za punkt wyjścia w zawodzie. Potem dopiero była cała reszta: wyobraźnia, interpretacja, wizja artystyczna. Dzisiaj w teatr wkłada się trochę bez troski i niechlujstwa.

- Nie żałuje Pani tych lat poświęconych teatrowi?

- Nie, choć mój dziadek, który miał wielkie posiadłości, namawiał mnie ongiś na ogrodnictwo. Czasami, jak mi trochę skuczno, myślę sobie: a może szkoda, że nie jestem ogrodnikiem i nie uprawiam ogródka?

- Wybrała Pani inny „ogród” - teatr?

- I uprawiałam te teatralne grządki, czasem lepiej, a czasem słabiej nawożone. Ale generalnie spędziłam ciekawe życie. To cieszy, że pamiętają o mnie nie tylko krakowskie kwaciarki, ale też teatr, w którym znów gram. Nie wiem, czy sprawdziłabym się w innym zawodzie. Gdy studiowałam aktorstwo, utrzymywał mnie mój starszy brat. Kiedy przyjechał na końcowy egzamin, na którym grałam w „Niespodziankę”, po obejrzeniu powiedział: „Nie zmarnowałam tych pieniędzy”.

- Parę dni temu otrzymała Pani Nagrodę Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego za całokształt pracy artystycznej. Czy traktuje ją Pani jako zwieńczenie swej kariery?

- Nie, bo w tym zawodzie nie ma zwieńczenia. Póki człowiek jest sprawny, zawsze może spotkać go coś zaskakującego. Wierzę, że mnie też jeszcze spotka.

Sam miód

Z HALINĄ GRYGLASZEWSKĄ rozmawia Jolanta Ciosek

grać w komediowym repertuarze. Mówię to z perspektywy czasu, bo wówczas, oczywiście, widziałam się wyłącznie w repertuarze dramatycznym. Gdy dostałam komediową rolę służącą w „Seansie” Howarda, byłam oburzona i obrażona. Grałam tę postać serio i myślę, że ten styk komediowości postaci i powagi w aktorskich środkach wyrazu dał zaskakująco dobry efekt. Sporo też grałam w repertuarze mieszczańskim u mojego ulubionego reżysera - Zawistowskiego. U niego też byłam Gertrudą w „Hamlecie”, gdzie tytułową rolę grał Leszek Herdegen - wspaniały aktor i kolega.

- Większość Pani ról, jak choćby wspomniana Gertruda czy caryca Katarzyna, Wassa Żelaznowa, to kobiety silne, władcze, apodyktyczne. Czy taka właśnie jest Halina Gryglaszewska?

- Być może taka byłam, a w każdym razie taką mnie widziano. Ale z czasem ten mój pazur stępił się nieco. Na pewno miałam w sobie pewną przywódcość, która też z wiekiem zbladła. Dzisiaj jestem „sam miód”.

- To z powodu owej przywódcości, mimo aktorskich sukcesów, poszła Pani w „dyrektory” - do Kielc, potem do krakowskiego Teatru „Rozmaitości”, dzisiejszej „Bagateli”?

- Sądzę, że tak. Poza tym jako dyrektor i aktorka zaczęłam również reżyserować. Reżyserowanie dawało nie tylko upust mojej przywódcości, ale też stwarzało możliwość kreowania własnej wizji świata. No, i oczywiście wymagało ogromnej odpowiedzialności - za wszystko. Dzisiaj reżyseria już by mnie tak nie pociągała. Wiąże się z nią zbyt dużo napięć i stresów. Sądzę, że skoro kiedyś mnie to ekscytowało, to widocznie byłam za mało odpowiedzialna.

- Osiem lat dyrekcji w Teatrze „Rozmaitości” to kawał czasu...

- O osiem lat za długo.

- Czyżby Pani żałowała tych lat?

- To nie kwestia żalu, ale rozsądnego spojrzenia z dystansu. Tam były trudne warunki pracy, gdyż spotkałam się z moimi kolegami ze szkoły. Oni stawiali dość duży opór wobec nowych form, które wprowadzałam. Byli przyzwyczajeni do teatru mojej poprzedniczki, Marysi Biliżanki.

- Czy udało się Pani stworzyć nowy profil „Rozmaitości”?

- Nie. Były natomiast pojedyncze spektakle, które wyznaczały nowy kierunek poszukiwań. Z grupą młodzieży, którą przyjął do teatru, stworzyliśmy „Scenę Faktu”, sądzę, że interesujący nurt najszej działalności. Ale proszę pamiętać, że ja z czasów tej dyrekcji zebrałam wiele chłaskających recenzji. Jako

reżyserzy, którzy też na ogół byli chłastani przez krytykę.

- Nieco wcześniej po wojnie była Pani też związana z Teatrem Mieczysława Kotlarczyka.

- Trudno powiedzieć, że byłam związana. Byłam tam przez chwilę, gdyż pociągał mnie wielki repertuar, jaki wystawiano.

- Ostra dla dobra studentów?

- Oczywiście. I dzięki temu potrafili mnie zaskakiwać swoimi propozycjami. Ja, stary belfer, nieraz otwierałam zdumione oczy na ich aktorskie rozwiązania. Poza tym na początku mojej pracy pedagogicznej uczyłam się wraz ze studentami. Przy-

ka. W Nowym Sączu mieszkaliśmy obok tzw. dzielnicy żydowskiej, w szkole miałam koleżanki Żydówki, największą moją przyjaciółką, która zginęła, była też Żydówka, rodzice mieli wielkich przyjaciół wśród Żydów. Tak więc po latach zaczęłam pogłębiać moją wiedzę w tej dziedzinie i odnalazłam



Fot. Archiwum „DZIENNIKA POLSKIEGO”

Ale specyficzna atmosfera, jaka panowała w tym teatrze, wśród ludzi, którzy byli przecież ze sobą związani jeszcze w czasie wojny, nie przystawała do mnie i szybko odeszłam. Nawet nie zdążyłam wejść w próby. Po prostu czułam się wśród nich obco.

- Do reżyserów również miała Pani szczęście?

- Woźnik, Wierciński, w Warszawie Świdorski, który zaprosił mnie do „Niespodzianki” Rostworowskiego - to były kolosy reżyserii. Bez dobrego reżysera nie ma aktora. Dzisiaj młodzi nie zawsze zdają sobie z tego sprawę.

- W latach 70. grała Pani sporo w Teatrze Telewizji. Od lat nie ma w nim Pani.

- Bo wówczas krakowski ośrodek był bardzo mocny. Sporo teatrów kręciło się, a Irena Wollen jeździła do Warszawy i „wyszarpywała” zgodę na poszczególne spektakle. A dziś? Przecież praktycznie Kraków nie robi Teatru Telewizji. Warszawa ma nań monopol. To wielka szkoda. Bo przecież mamy ogrom-

niemność tej pracy brała się nie tylko z dawania z siebie, ale i brania czegoś od młodych.

- Pierwszą grupę Pani studentów stanowili m.in. Cybulski, Kobiela, Jędrusik. Czy już wówczas dostrzegła Pani ich nieprzeciętny talent?

- Tak, bo byli inni. Bardziej zbuntowani i ciekawi wszystkiego. Byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni. Pamiętam, jak siadaliśmy u mnie w domu na podłodze, zjadali konfitury mojej mamy z derenia i dyskutowali. O wszystkim. O życiu, sztuce, sprawach błahych i tych serio. Czułam w nich poważnych partnerów, bo byli dojrzałymi ludźmi, których kształtowała wojna. Nie wiem, czy dzisiaj, z tą młodzieżą pomaturalną, która przychodzi do szkoły, umiałabym się porozumieć. Myślę, że byłoby mi trudno.

- Nie tęskni Pani za szkołą?

- Teraz to już przeszłość, ale kiedy po kilkudziesięciu latach pracy sekretarka wręczyła mi na korytarzu świstek papieru, będący wypowiedzeniem, to zabołało. I bolało długo: forma rozstania i fakt rozstania.

dla siebie wspaniały nowy świat. Innymi oczami zaczęłam oglądać Kazimierz, mądrzejsza o zdobytą wiedzę. Jednego nie udało mi się zgłębić - żydowskiej filozofii. Jest dla mnie za trudna. Ale książki o tej tematyce nadal kupuję w ulubionej księgarni, gdzie znają mnie i zawsze zostawiają jakąś ciekawostkę.

- Gdy przeszła Pani na emeryturę, teatr też o Pani na wiele lat zapomniał. Było w Pani wówczas rozgoryczenie?

- Tak, bo poczułam się niepotrzebna. Rozumiem, że trzeba ustępować „etatowo” miejsca młodym, ale przecież teatr powinien być wielopokoleniowy. Na szczęście, ostatnio to się zmienia i znów gram w moim przecież od lat Teatrze Słowackiego.

- I znów odzywa się w Pani żyłka niepokornej aktorki?

- Ależ skąd. Zawsze byłam i jestem pokorna, i uległa reżyserom. Pod warunkiem, że mają rację.

- A przecież powiedziała Pani kiedyś, że nie jest łatwa w kontaktach z ludźmi?